



Gabriel Ferry

GOŃCY LEŚNI CZYLI POSZUKIWACZE ZŁOTA
CZĘŚĆ TRZECIA



39

ISBN 978-83-66980-08-2 (całość)

ISBN 978-83-66980-11-2 (część 3)



**BIBLIOTEKA ANDRZEJA
SZLAKIEM PRZYGODY**

Gabriel Ferry
(LOUIS DE BELLEMARE)

**GOŃCY LEŚNI, CZYLI
POSZUKIWACZE ZŁOTA**

Część trzecia



Gabriel Ferry to przydomek literacki dwóch pisarzy francuskich, ojca, Eugène Louisa Gabriela Ferry de Bellemare (1809-1852) i syna, Gabriela de Bellemare, urodzonego w roku 1846, o nieznanej dacie śmierci.

Przodkowie Gabriela Ferry'ego byli bogatymi plantatorami na Haiti, wygnanymi stamtąd wydarzeniami rewolucji francuskiej. Jego ojciec Gabriel Denis przeniósł się do Anglii i Francji, zamieszkał w Grenoble gdzie zajmował się handlem z Ameryką Łacińską, zwłaszcza Meksykiem.

Gabriel Ferry uczył się w Collège Royal w Wersalu, w roku 1830 z polecenia ojca wyjechał do Meksyku, aby zajmować się jego interesami, do Francji wrócił w 1840. Mieszkał w stolicy, ale odbył wiele podróży po tym kraju, głównie do Sonory, gdzie zamierzał tworzyć osadnictwo francuskie. Podczas pobytu w Meksyku był świadkiem wielu burzliwych wydarzeń, wojny domowej, dyktatury Santa Anny, wspieranych przez Stany Zjednoczone powstań Komanczów i Apaczów na północy, buntów w Zapacetas, w Teksasie, który ogłosił niepodległość w roku 1835, rebelii Republiki Rio Grande, w Tabasco, na Jukatanie, wojny francusko-meksykańskiej w latach 1838-1839.

Wszystko to stanowiło doskonały bodziec do twórczości literackiej i Gabriel Ferry zaczął po powrocie do Francji pisać opowiadania osadzone w realiach meksykańskich, oparte na jego wspomnieniach, które cieszyły się sporą popularnością. Przyczynił się mocno do powstania we Francji mitu Dzikiego Zachodu, gdyż akcję swoich utworów umieszczał często na pograniczu meksykańsko-amerykańskim, który to mit pogłębiał później Gustave Aimard, wzorujący się mocno na Gabrieli Ferry'm.

Ferry pozostał w swej twórczości romantykiem, czerpiącym wiele z dzieł Fenimore'a Coopera, którego bohaterów przenosił z terenów Kanady do Meksyku, pozostawiając ich charakter. Pierwsze opowiadania zamieszczał w czasopismach, w tym w renomowanym „La revue des deux mondes” (lata 1847-1850), później wydawał je w zbiorach. Następnie pisał powieści, jak pełne egzotycznego kolorytu, gwałtownych zwrotów akcji, zbrodni, dramatów, walk i powstań, w które obfitowała historia Meksyku.

W sumie Gabriel Ferry jest autorem opowiadań, wspomnień z pobytu w Meksyku, prac popularyzujących wydarzenia historyczne tego kraju, kilku powieści. Podejrzewa się, że część z tych dzieł mogło wyjść spod pióra jego syna, używającego tego samego pseudonimu literackiego. W XIX wieku cieszyły się sporą popularnością, potem popadły w zapomnienie. Jego dzieła to *Costal l'Indien, ou Le dragon de la reine, scènes de la guerre de l'indépendance de Mexico, Les Coureurs des bois ou Les chercheurs d'or, Les Squaters, La Clairière du bois de Hugues, La Chasse aux Cosaques, La Famille de Jeanne d'Arc. Les aventures de Jehan d'Arc (1464-1465), Tancrede de Chateaubrun, Les prouesses de Martin Robert, histoire d'un humble, Les exploits du César: romain parisien, Les aventures du Français au pays du Caciques*. Były one tłumaczone na język angielski, hiszpański i niemiecki, także na polski przez Władysława Umińskiego, lecz były to przekłady bardzo luźne, np.: *Wędrowiec leśny, Skarb Sonory*.

Gabriel Ferry został mianowany przedstawicielem rządu francuskiego w Kalifornii podczas gorączki złota; zginął tragicznie podczas rejsu tam statkiem „Amazonie”, który zatonał na Zatoce Biskajskiej w wyniku wywołanego uderzeniem pioruna pożaru.

Gabriel Ferry



GOŃCY LEŚNI, CZYLI
POSZUKIWACZE ZŁOTA

Część trzecia

Przełożył i przypisami opatrzył Andrzej Zydorczak

**Dziewięćdziesiąta piąta publikacja elektroniczna
Wydawnictwa JAMAKASZ**

Trzydziesty dziewiąty tom serii:
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuł oryginału francuskiego:
Coureurs des bois ou les chercheurs d'or

© Copyright for the Polish translation by Andrzej Zydorczak, 2022

97 ilustracji, w tym 24 karty tablicowe kolorowe: J.M. Guilliod
zaczepnięte z XIX-wiecznego wydania francuskiego
podkolorowanie: Dariusz Kocurek

Redaktor serii: Andrzej Zydorczak

Redakcja: Kinga Ochojska
Projekt okładki: Barbara Linda
Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Wydanie I
© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2022

ISSN 2449-9137
ISBN 978-83-66980-08-2 (całość)
ISBN 978-83-66980-11-2 (część trzecia)

Rozdział LII

Wycieczka

Pośród pustkowi Far Westu na odległych preriach zachodniej Ameryki trzy rzeczy są absolutnie potrzebne: przede wszystkim serce nieznające trwogi, następnie silny i zwrotny wierzchowiec, na koniec niezawodna strzelba.

Nieposkromione męstwo, takie jak tych trzech myśliwych, często zastępuje konia, ale bez strzelby człowiek o silnym sercu nie jest niczym innym jak łamliwą zabawką, wystawioną na głód i drażniące zwierzęta, którą może skruszyć kaprys krążącego w pobliżu Indianina.

Na widok opiekuńczej broni od lasów Kanady aż do Gór Mglistych, wiernej towarzyszki tylu niebezpieczeństw, wytrąconej dziesiąt z rąk, którymi tyle razy karciła, leżącej na piasku, serce starego gońca leśnego wzruszyło się jak na widok martwego ciała drogiego przyjaciela. Dla Kanadyjczyka jego broń była nie tylko jego siłą i życiem, ale życiem i siłą jego dziecka, które chciano mu odebrać.

Surowy wojownik prerii poczuł, że wilgotnieją mu oczy, jak Arabowi oplakującemu swojego wierzchowca. Z tych oczu na jego policzki stoczyła się łza.

– Jest was tylko dwóch na tej skale, bo stary Bois Rosé już się nie liczy – powiedział, czyniąc wysiłek, by ukryć swoją słabość. – Jestem teraz dzieckiem na łasce moich nieprzyjaciół. Fabianie, mój synu, nie masz już ojca, który by cię bronił...

Następnie popadł w smętne i ponure milczenie niczym pokonany Indianin.

Jego dwaj towarzysze naśladowali go. Jeden i drugi czuli ogrom nieszczęścia, które ich wszystkich trzech dotknęło. Próbowanie odzyskania broni, którą ugodzenie kulami mogło zniekształcić, byłoby niepotrzebną lekkomyślnością. Oznaczało by narazić się na otoczenie

przez nieprzyjaciół w mgnieniu oka, których liczby myśliwi nie znali. Byłoby to oddać się żywcom Indianom, gdy tymczasem przynajmniej na szczycie piramidy ocalenie, czyli śmierć lepsza od niewoli, pozostawało im w głębi otchłani.

– Rozumiem cię, Bois Rosé – zawołał Pepe, dostrzegłszy wzrok Kanadyjczyka utkwiony w taflę wody, która na chwilę zabłysła, by zniknąć w przepaści. – Ale do kroćset! Jeszcze się tam nie znajdujemy. Jesteś lepszym strzelcem ode mnie i moja strzelba będzie się lepiej sprawowała w twoich rękach niż w moich.

Powiedziawszy te słowa, Pepe przesunął swoją broń po ziemi w stronę Kanadyjczyka.

– Dopóki nam trzem pozostanie tylko jedna strzelba, to będzie ona w twoim ręku, Bois Rosé – dodał Fabian. – Myślę podobnie jak Pepe, bo komu wierniejszemu i szlachetniejszemu możemy powierzyć nasz ostatni środek obrony?

– Nie, dziękuję ci, moje dziecko, dziękuję ci, mój stary towarzyszu, nie przyjmuję waszej propozycji, bowiem ściga mnie nieszczęście.

Bois Rosé odepchnął strzelbę, którą Pepe wkładał mu do ręki.

– Ale dzięki Bogu – mówił dalej goniec leśny, którego bolesne przygnębienie ustępowało stopniowo gniewowi jednego z tych lwów, jakiego olbrzym czasami doznawał – mam jeszcze nóż, którym będę mógł rozplatać tyłu, ilu się ukaże, i ramiona jeszcze dość silne, aby ich dusić albo roztrzaskiwać ich głowy o skały.

Pepe nie wziął z powrotem swego karabinu.

– No cóż, wy, metyskie psy, wyrzutki rasy białych, włóczący się Indianie, czy ośmielicie się wyjść z waszych nor i przybyć tutaj? – zawołał Kanadyjczyk, uległszy wybuchowi wściekłości. Zwyzywał zarazem Czerwoną Rękę, Mieszańca i ich sprzymierzeńców. – Zostało nas tutaj tylko dwóch, którzy na was czekają. Cóż znaczy wojownik bez strzelby?

Pod zachmurzonym sklepieniem nieba rozległo się majestatyczne toczenie się grzmotu i przytłumiło głos Bois Roségo, ale jego wyzwanie, jak się wydawało, zostało dosłyszane. Inny Indianin, podążając mniej więcej tą samą drogą co poprzedni, stanął za zielonym

ogrodzeniem Złotej Doliny, ale ukrywał się tak starannie, że widać było jedynie jego oczy i czubek głowy z czerwonymi wstążkami ozdabiającymi jego włosy.

– Ach, to on, to ten metyski pies! – zawołał Pepe, nie tracąc z oczu oznak wyróżniających syna Czerwonej Ręki, i szukając około siebie strzelby.

Bois Rosé go jednak uprzedził. Zaślepiiony gniewem, który ryczał w jego piersi jak grzmot na niebie, widząc że nadeszła chwila, kiedy będzie mógł dokonać zemsty na Mieszańcu, czyjego życie, jak sądził, trzymał w ręku, Kanadyjczyk chwycił strzelbę Pepeggo i oddał strzał.

Będąc w tym samym miejscu, gdzie poprzedni Indianin, nieprzyjaciel, by mógł być osiągnięty, zmusił myśliwego do odsłonięcia, tak jak za pierwszym razem, swej broni. Indianin, powalony na śmierć, upadł za ogrodzeniem, ale dwa huki nastąpiły po wystrzale Bois Roségo.

– Przekleństwo! Przekleństwo! – wykrzyknął myśliwy grzmiącym głosem, stając przy tym prawie prosto i ciskając ze wściekłością ku trupowi nieprzyjaciela, którego zabił, kolbę, jaka pozostała mu w ręku. Taka była siła uścisku olbrzyma trzymającego broń, że lufa oderwała się od drewnianej kolby, bo ta nie dała się wyrwać ze ściskających ją palców.

– Niech piekło pochłonie twoją duszę, Metysie, przeklętą za życia! – wskazawszy pięścią na nieruchomego trupa, mówił dalej Kanadyjczyk.

Wybuch śmiechu, który wydawał się pochodzić od demona mającego spełniać przekleństwo Kanadyjczyka, odbił się echem od skał wznoszących się naprzeciw łowców, a Metys, szybki jak błyskawica, pełen życia, ukazał na chwilę nad szanćcem z bawolich skór swoją głowę z rozpuszczonymi włosami i twarzą, na której malowała się szatańska ironia, po czym mara zniknęła tak szybko jak się ukazała.

Indianin, odegrawszy swoją ostatnią perfidną rolę, zręcznie naśladował strój głowy Metysa, by niewątpliwie jeszcze bardziej pobudzić nienawiść do nieprzyjaciół, i to mu się aż nazbyt dobrze udało.

– Orzeł Gór Śnieżnych jest tylko sową w biały dzień. Jego oczy nie są w stanie w słońcu rozróżnić twarzy wodza od twarzy wo-

jownika – odezwał się głos Mieszańca po fanfaronadzie, jaką przed chwilą uczynił, pokazawszy się.

– Ach, Pepe! Ten człowiek jest dla nas jakimś fatum, ale odtąd pomiędzy nim a nami będzie walka na śmierć i życie, a prerie, chociaż są tak rozległe, nie pomieszczą nas razem! – zawołał Bois Rosé.

Kanadyjczyk wrócił machinalnie na swoje stanowisko, po czym szepnął półgłosem:

– Biada temu, powiedział Bóg, który w moim ręku będzie biczem mojego gniewu i berłem mojej sprawiedliwości. Pepe, Bóg, posłuszwszy się nami do wykonania swej zemsty, zniszczył przedmiot, którego chciał użyć. Skruszył moc w moim ręku.

– Zaczynam w to wierzyć – odpowiedział Pepe – ale przysięgam na duszę mojej matki, że jeżeli Bóg zachowa mi życie, to jeszcze raz będę służyć jego gniewowi wbijając aż po rękojeść mój sztylet w serce tego diabła na pół czerwonego i na pół białego.

Jakby niebo przyjęło ten akt sprawiedliwości, nagle ciemność okryła okolicę, błyskawice podobne do ognistych smug przerzynały horyzont z jednej do drugiej strony, a grzmoty wybuchły, jakby bateria złożona ze stu dział nagle dała ognia.

Góry i równina w żałobnych echach powtarzały wielki odgłos burzy, który rozbrzmiewał nad preriami jak pośród ogromnego oceanu.

Sinawy blask błyskawic wytryskających poprzez wysuszone żebra szkieletu konia stojącego na platformie nadał grupie myśliwych osobliwy i złowieszczy wygląd. Kanadyjczyk oraz Pepe wpatrywali się w otaczające ich przedmioty i wydawało się, że zupełnie ich nie widzą.

Straszliwe niepowodzenie, jakiego doznali, nie zmiażdżyło ich męstwa, ale chwilowo zamieniło je w mroczną i bierną rezygnację. Zwłaszcza Bois Rosé, myśląc o Fabianie, ze smutkiem opuścił głowę i wydawał się przytłoczony ciężarem bólu. Jego porywczy gniew ustąpił miejsca upokorzeniu starego żołnierza, który widzi, że został rozbrojony przez rekrutów. Jeśli chodzi o Fabiana, to zachował spokój człowieka, dla którego życie, nie będąc zbyt wielkim ciężarem, jest niewygodnym brzemieniem, na którego pozbycie się czeka, nie okazując słabości.



Sinawy blask błyskawic wytryskających poprzez wysuszone żebra szkieletu konia stojącego na platformie nadał grupie myśliwych osobiwy wygląd.

– Fabianie, mój synu – powiedział ze smutkiem Kanadyjczyk – do tej pory zbyt ufałem swojej sile i doświadczeniu. Na co mi posłużyła ta siła i to doświadczenie, z których byłem tak dumny? Moja nieroztropność was zgubiła. Fabianie, Pepe, czy mi przebaczyć?

– Później o tym porozmawiamy – odparł były mikelet, który poczuł, że jego odwaga oraz zaczepny i drwiący duch stopniowo się odradzają. – Twoja broń i moja zostały rozbite w twoim ręku tak samo, jakby to się stało w moim, ot i wszystko. Czy myślisz jednak, że nie mamy nic lepszego do roboty, niż tylko lamentować jak baby lub czekać na śmierć jak dwa zranione bizony?!

– Cóż chcesz, by ci powiedział myśliwy, do którego obecnie bez niebezpieczeństwa mógłby podejść jeleni i polizać mu ręce? – odpowiedział pognębiony Kanadyjczyk.

– Oczywiście jest, że możemy stąd uciec przed nocą. Zrobimy wybieżkę przeciw oblegającym. Fabian będzie nas bronił z tego wyniosłego stanowiska swoją strzelbą. Jak wiesz, takie śmiałe posunięcia zawsze się udają. Otóż tam na dole, pod kamieniami, jest czterech łotrów, których trzeba zarżnąć w ich norach. Teraz jest tak ciemno jak w nocy, a nas będzie dwóch przeciw czterem, co wystarczy.

Następnie rozmawiali z Fabianem, który zgodził się na ten śmiały plan Pepegó.

– Ty – rzekł Hiszpan – nie tracąc z oka łotrów na skałach, jednak przede wszystkim nie odsłaniając się, będziesz śledził tych łajdaków na równinie. Jeżeli ci ostatni nas dostrzegą i jeżeli któryś z nich się ruszy, strzelaj do niego. Jeśli nie, reszta należy do nas. No, dalej, Bois Rosé, zapewne także podzielasz moje zdanie. Zatem w drogę! Don Fabianie, gdy skończymy, wrócę po ciebie i umknijemy.

Ci dwaj mężczyźni, przez chwilę uginający się jak dwa dęby, którymi wiatr wstrząsa aż do korzeni, niebawem podniosą się jak te drzewa i ponownie stawią czoła burzy.

Kanadyjczyk posłuchał rady, która mu się podobała samą swoją zuchwałością i której ciemność nie czyniła niewykonalną. Przy tym Bois Rosé, oprócz ocalenia swego syna, miał do pomszczenia gorzkie upokorzenie.

Spojrzenie rzucone na równinę w stronę przeciwną skałom przekonało ich, że nic się wokół nie zmieniło. Potem dwaj myśliwi z nożami w zębach zsunęli się tak szybko ze szczytu piramidy, że Fabian mniemał iż przed chwilą odeszli, podczas gdy ci już podążali pochyleni wzdłuż trzciny jeziora.

Fabian, bardziej zajęty śledzeniem ich ruchów i ochranianiem ich życia bardziej niż swego, zachwycił się widokiem pełnym strasznego poświęcenia, jaki mu oferowali dwaj nieustraszeni towarzysze broni.

Wielkie osłony okrywające Indian pozostawały w takiej nieruchomości, jakby rzeczywiście były kamieniami nagrobowymi pieczętującymi nieboszczyków w ich grobowcach. Uspokojony ponurą ciszą panującą w tamtej stronie, Fabian z mniejszym niepokojem obserwował manewry Kanadyjczyka i Hiszpana.

Obaj zatrzymali się i zdawali się naradzać przez chwilę. Następnie zobaczył, jak wchodzą łagodnie w trzciny rosnące nad brzegami jeziora, a potem znikają. Burzowa wichura tak gwałtownie wstrząsała tą gęstwiną, że falowanie wywołane posuwaniem się dwóch myśliwych nie mogło obudzić uwagi Indian.

Uwolniony od obowiązku obserwowania swoich przyjaciół, którzy stali się niewidoczni i których ciemność oraz gęstwina sitów i trzciny dostatecznie chroniły, uspokojony teraz co do wyniku ich śmiałej próby, Fabian pospiesznie powrócił na swoje stanowisko, na przeciwną stronę brzeg platformy.

Był ku temu najwyższy czas.

Nie chcąc jednak mieszać w opowiadaniu dwóch różnych jednocześnie działań, zajmijmy się na chwilę tylko gońcem leśnym i hiszpańskim myśliwym.

Po tym, jak Fabian zobaczył ich znikających w gęstwinie trzciny, znów się zatrzymali. Ich wzrok nie mógł przebić zasłony roślin wodnych, które ich ukrywały, ale wiedzieli, że ze szczytu wyniosłości Fabian mógł ogarnąć większy obszar.

Pośród ciemności nieba, pomiędzy wysokimi trzcunami, których zielone pióropusze ugiął wiatr, brzegi jeziora wydawały się całkowicie opustoszałe.

– Jeżeli za minutę – odezwał się Kanadyjczyk – nie usłyszymy wystrzału ze strzelby Fabiana, będzie to znak, że Indianie nie dostrzegli nas schodzących ze wzgórza. Wówczas ze względu na to, że są ukryci w równej prawie odległości jedni od drugich i w jednej linii, każdy z nas uda się w przeciwną stronę. Zakłuj ostatniego sztyłem, ja zgniotę pierwszego pod jego kamieniem, a co do dwóch pozostałych... Z nimi, wziętymi pomiędzy nas dwóch, przerażonymi śmiercią ich towarzyszy, łatwo sobie poradzimy, wierz mi.

– Spodziewam się tego, *caramba!* – rzekł Pepe.

Ten plan był straszliwy w swej prostocie i przez minutę, gdy हुआ grzmot, a błyskawice przebiegały po równinie jak ogniste węże, przerywając długimi promieniami gęstwinę trzciny, dwaj myśliwi w każdej chwili spodziewali się usłyszeć wystrzał z karabinu Fabiana.

Zżerała ich niecierpliwość, a do tej gorączkowej niecierpliwości wywołanej podniecaniem się niebezpieczeństwem, u Bois Rosé dołączył niepokój i jakby wyrzuty sumienia, że pozostawił skarb swego życia, ukochanego Fabiana, wystawionego samego na okropne niebezpieczeństwo, nawet gdy chodziło o jego ocalenie.

W tym krótkim czasie, od kiedy jego syn był mu zwrócony, ten okazywał dowody odwagi w niczym nie ustępującej jego męstwu, Bois Rosé pośród swego życia pełnego niebezpieczeństw nadaremnie upatrywał ciągle w energicznym i krępkim młodzieńcu dziecko z długimi i kręconymi włosami, które przez dwa lata ochraniał.

Niespokojny Kanadyjczyk z drżeniem czekał na dobiegający do niego z wysokości wzgórza okrzyk trwogi Fabiana wzywającego pomocy. Rzeczywiście, na równinie rozbrzmiewały jakieś dziwne pomruki.

Wiatr gwizdał na prerii z żałobnym szmerem jak szelest ubolewającej samotności.

– Już czas – odezwał się Bois Rosé – gdyż dziecko jest samo... Dalej, Pepe... Wiesz... Pierwszy i ostatni.

Trzciny pochyliły się na rozległej przestrzeni jakby pod gwałtownymi podmuchami południowego wiatru i podobni do dwóch tygrysów bengalskich, które pośrodku dżungli rzucają się na swoją



Podnieść z ziemi kamienną płytę i spuścić ją na dzikiego
było dla Bois Roségo dziełem jednej chwili.

ofiare, bez ryku, ale równie milczący jak zwinni, dwaj strzelcy poskoczyli na równinę.

Z cudowną precyzją dzikiego instynktu, każdy z groźnych walczących pobiegł wprost ku swemu wrogowi – Bois Rosé do pierwszego, Pepe do ostatniego.

W tej chwili z oddali rozbrzmiał dobrze znany huk strzelby Fabiana. Bois Rosé zadrżał, ale nie mógł się już zatrzymać. Zresztą wystrzał ze strzelby Fabiana odezwał się tylko raz, a teraz należało wykończyć nieprzyjaciół.

Wierzący w siłę swoich ramion, w chwili, gdy Indianin za późno ostrzeżony przez stąpanie po ziemi, usiłował wypelzać przez wąski otwór, który sobie pozostawił pomiędzy jedną ze szczelin, Kanaadyjczyk stopą ciężką jak blok granitowy przydusił ciało Apacza. Podnieść z ziemi kamienną płytę i spuścić ją na dzikiego było dla Bois Roségo dziełem jednej chwili, po czym podskoczył ku drugiemu.

Pepe zaatakował swego przeciwnika w odmienny sposób – rzucił się na niego całym ciałem i jego ręka uzbrojona w sztylet przez sekundę szukała pod kamieniem, po czym powstawszy jednym podskokiem, Hiszpan połączył się z Bois Rosém.

Dwa trupy, jeden zmiażdżony kamieniem, drugi zakłuty nożem – taki był skutek tego nagłego ataku, ale dwóch innych Indian pełnych życia powstało na nogi, zdziwieni i przerażeni, wahający się, czy mają uciekać, czy też walczyć.

– Zgnieć gada, zanim zasyczy – zawołał Bois Rosé w chwili, gdy jeden z Indian, wydając z siebie alarmowy ryk, cofał się, by użyć łuku, który trzymał w ręku, podczas gdy drugi, wyjąc, rzucił się także na Pepegó. Dwaj nieprzyjaciele starli się silnie, ale nie z równym powodzeniem.

Indianin, przewrócony uderzeniem, ostro upadł na ziemię, a Pepe rzucił się na niego. Apacz zaledwie zdobył się na chwilę szamotaniny, potem znieruchomiał.

W tym czasie Bois Rosé nachylił się, by uniknąć strzały, która świsnęła nad nim zaledwie o kilka linii, a gdy się podniósł, Indianin

już był daleko, ale jak się tego obawiał, wąż zagwizdał. Jego ryki rozbrzmiały na równinie.

– Prędko, prędko, Pepe, na piramidę! – zawołał Bois Rosé i obaj pobiegli w tym kierunku.

Fabian pozostał sam zaledwie przez dziesięć minut, tak szybko bowiem dwaj myśliwi ukończyli swoją wyprawę.

W chwili, gdy rękoma czepiając się krzaków, wdrapywali się prawie bez tchu na strome zbocza pagórka, przeraziło ich ponure milczenie panujące na szczycie.

– Fabianie! Fabianie! – wołał z rozpaczą Kanadyjczyk, podczas gdy wydawało się, że jego umięśnione nogi uginały się pod nim z powodu tak przejmującej udręki. – Fabianie, mój synu!

Tylko wicher, który huczał z większą wściekłością pośród gałęzi jodeł na płaskowyżu, odpowiedział na to bolesne wołanie.



Rozdział LIII

Głos z Ramy¹

 chwili, gdy Fabian baczным okiem śledził najmniejszy ruch swoich towarzyszy, ostatni Indianin wybrany przez los, by wystawić się na ogień oblężonych, ostrożnie podkraadał się wzdłuż obwodu Złotej Doliny.

Był to Westchnienie Wiatru. Instrukcje, jakie dostał od Metysa, były wyraźne. Ponieważ nieufność trzech musiała być obudzona, Indianin, aby nie spalić fortelu, który dotąd tak dobrze się udawał, otrzymał rozkaz udawania większej ostrożności przy dostawaniu się do podnóża piramidy. W drodze, osłonięty pasem wierzb i krzewów bawelny, Westchnienie Wiatru nie powinien jednak przekraczać pewnej granicy. Miał się zatrzymać w miejscu, w którym któryś z myśliwych mógł go dosięgnąć, jedynie wyciągając ręce lub głowę poza blanki.

Mieszaniec zaczął liczyć poległych. Pomijając Baraję i trzech Indian, których Pepe i Kanadyjczyk uczynili nieszkodliwymi, spośród jedenastu wojowników, których ze sobą przyprowadził, zginęło sześciu. Westchnienie Wiatru miał być siódmym i dziki Metys pragnął, by przynajmniej był ostatnim i żeby jego śmierć przyniosła mu korzyść. Otóż Mieszaniec, daleki od podejrzewania, by tylko jeden z oblężonych pozostał na szczycie wzgórza, uważał, że żaden z myśliwych nie dopuści się nieroztropności wystawiania swoich członków na ogień nieprzyjaciela.

Rzeczywiście, w tych pogranicznych walkach, gdzie potrzeba skradać się jak tygrys, pęłzać jak wąż, nie odsłaniać swojego ciała, jakkolwiek kusząca byłaby próba oddania strzału, i posyłać śmierć

¹ *Rama* – miejscowość w północnym Izraelu, w której znajdował się przejściowy obóz dla mieszkańców Jerozolimy zdobytej przez Nebuzaradana, którzy mieli zostać uprowadzeni do Babilonu; Księga Jeremiasza, 40,1.

tak, by nie była widziana strzelba, która ją zadaje, roztropność jest najprostszą częścią strategii na pustkowiach.

Westchnienie Wiatru, zdziwiony, że już od kilku chwil bezpiecznie przebywał na miejscu, gdzie dwóch wojowników, którzy go poprzedzali, znalazło śmierć, zatrzymał się zgodnie z otrzymanym rozkazem.

Chociaż dzień był ciemny z powodu gęstych chmur pokrywających niebo, zawsze czujny wzrok Indianina potrafił doskonale rozróżnić nawet najmniejsze pęknięcia skał i łatwo dostrzegł, że jak podobnie dwa razy wcześniej lufa strzelby nie podążała za jego najlżejszym ruchem. Przyczyna tego była prosta i sprowadzała się do tego, że Fabian zajęty gdzieś indziej, nie podejrzewał obecności Westchnienia Wiatru, gdy tymczasem ten ostatni przypisywał to milczenie i tę bezczynność w obliczu wroga jakiemuś podstępowi, którego nie rozumiał. Niemniej spodziewał się, że w każdej chwili będzie ugodzony niewidzialną bronią.

Była to więc długa i straszliwa chwila dla czerwonoskórego wojownika. Miał dość czasu, by skupić swoje myśli o miłości i żalu na dwóch istotach, które miał pozostawić bez opieki w swojej chacie: na żonie i dziecku liczącym sobie zaledwie trzy słońca¹.

Podczas gdy na szczycie piramidy panowała cisza, Indianin, pogończony ze śmiercią, walczył zarówno z nakazującym obowiązkiem, który przywiódł go do zgubnej granicy, jakiej nie wolno mu było przekroczyć, jak i z nie mniej władczym instynktem samozachowawczym, który krzyczał do niego, by szedł naprzód, ponieważ stawiał czoła niebezpieczeństwu, a niebezpieczeństwo nie wydawało się chcieć go dosięgać.

Z pewnością wojownik z pustkowi wystarczająco dużo zrobił dla swego sumienia i jego walka nie miała się przeciągać. Zwyciężył instynkt samozachowawczy – przekroczył granicę ustaloną rozkazami Mieszkańca.

Nad jego głową ciągle panowała ta sama cisza i Apacz bez przeszkód dotarł do podnóża piramidy. Zachęcony tym niespodziewanym

¹ *Słońce* – tu: jeden rok.

powodzeniem, Indianin ośmielił się powziąć nadzieję, że własnymi rękoma wyrwie wrogom ostatnią broń, jaka im pozostała, nie płacąc za ten wyczyn swoim życiem. Poza tym ofiara została już z góry złozona i jego los nie mógł być gorszy od tego, któremu się poddał.

Wiedział, że oczy dwóch wodzów śledzą wszystkie jego ruchy, więc zatrzymawszy się jeszcze na chwilę, dał znak ręką dwom piratom zaczajonym za skórąmi bawolimi, podobnie jak on zaskoczonych niewytłumaczalnym bezruchem obłączonych, i zaczął powoli wdrapywać się po zboczu ściętego wzgórza.

Westchnienie Wiatru piął się z taką ostrożnością i lekkością, że żaden kamyk, żaden kawałek ziemi oderwanej spod nóg nie zdradził go, spadając w obecności nieprzyjaciela.

W chwili, gdy jego głowa miała wychylić się ponad poziom platformy, Indianin znieruchomiał i zaczął nasłuchiwać. Żaden oddech, żadne słowa nie dotarły do jego uszu. Wtedy Indianin ośmielił się rzucić spojrzeniem powyżej jednego z tych kamieni chroniących obłączonych. Była to chwila, w której Fabian, leżący na szczycie piramidy i śledzący uważnym wzrokiem manewry swoich towarzyszy, ujrzał ich znikających, ukrytych przez trzciny na brzegu jeziora.

Zanim młody człowiek, całkowicie pochłonięty i ogromnie zainteresowany powodzeniem odważnego planu Hiszpana i Kanadyjczyka, odwrócił się, by z kolei przyjrzeć się wrogom od przeciwnej strony, Indianin miał dość czasu na to, by mu rozplatać głowę tomahawkiem. Tymczasem Fabian był jednym z tych, którzy mieli być ofiarowani żywi zemście wielkiego wodza, więc jego życie było święte dla Apacza.

Pragnął tylko dorwać karabin białego myśliwego i zamiast wyciągnąć rękę i uderzyć, Indianin, czołgając się, przysuwał się bliżej, by złapać broń, przedmiot jego pożądliwości. W tejże samej chwili odwrócił się Fabian.

Na widok tej odkrytej malowidłami twarzy, pośród której oczy lśniły jak u dzikiego kota, niepewny, czy jest to jedyny nieprzyjaciel na płaskowyżu, Fabian poczuł dreszcz trwogi, który jednak trwał zaledwie sekundę. Stłumił w sobie okrzyk wzywający swoich towarzyszy,

mogący ich zdradzić i przeciąć im odwrót, pozbawiony możliwości użycia swej strzelby, którą Indianin chwycił za lufę, nieustraszony młodzieniec w milczeniu oplótł ramiona swego czerwonoskórego przeciwnika.

Wywiązała się zacięta walka.

Przy rozdzielaniu swoich darów pomiędzy różne ludzkie rasy natura obdarzyła Indian tak giętkimi i muskularnymi nogami, że niewielu jest białych mogących z nimi współzawodniczyć w zwinności, ale nie nadała ramionom Indianina siły dorównującej sile białego.

Westchnienie Wiatru poznał to na własnej skórze.

Przeciwnicy, ściśle obejmując się wzajemnie ramionami, dwukrotnie potoczyli się po platformie z wątpliwą przewagą i w ogniu walki karabin, gwałtownie szarpany, wypalił, lecz kula nie trafiła żadnego z walczących.

Był to wystrzał dosłyszany przez dwóch myśliwych, także toczących równie straszliwą walkę.

W końcu Fabian, silniejszy od Indianina, zyskał przewagę i utrzymał wroga pod sobą. Następnie ręką, której uderzenia Westchnienie Wiatru nie mógł szybko odeprzeć, bowiem nie chciał puścić karabinu, młody Hiszpan wbił swój nóż w pierś Apacza. Na nieszczęście na skutek szamotaniny białły i Indianin dotoczyli się do jednego z krańców platformy.

Pod nimi głucho ryczała otchłań. Wilgotny pył wyrzucany z dna wodospadu mieszał się z ich oddechami i ostatnim wysiłkiem konającego Indianin próbował pociągnąć za sobą Fabiana. Ten nadaremnie starał się uwolnić z rozpaczliwego uścisku czerwonoskórego wojownika.

Przez chwilę młodzieniec poczuł, jak odrętwiałe mięśnie napinają się i odmawiają mu posługi, ale obawa przed okropną śmiercią przywróciła mu słabnący wigor i zdołał uniknąć przepaści, ale nie udało mu się przeszkodzić Indianinowi w pociągnięciu go za sobą na dno parowu, niedaleko ziejącej otchłani.

Przetaczając się w nieładzie, ciągle spleceni, ci dwaj wrogowie doznali strasznego wstrząsu. Fabian poczuł, że ramiona Indianina

rozluźniając się, sparaliżowane śmiercią, po czym sam, nieprzytomny, znieruchomiał jak Apacz, bowiem głową uderzył w kant jednego z płaskich kamieni, które pociągnęli za sobą dwaj zapaśnicy.

Kilkanaście minut upłynęło od czasu wystrzału z karabinu Fabiana aż do chwili, kiedy Kanadyjczyk, nie uzyskawszy na swoje rozpaczliwe wezwania innej odpowiedzi jak świst wiatru w jodłach, zrównał się głową z płaskowyżem.

Rozdzierający serce wyraz udręki zburzył rysy twarzy starego myśliwego. Gdy swoim wzrokiem mógł zobaczyć na jeszcze świeżym grobie don Antonia wyraźne ślady zaciętej walki, kiedy ujrzał ochronny wał z kamieni zniszczony i rozrzucony po ziemi, wydał okropny okrzyk. Fabiana nie było już na piramidzie.

W tej chwili burza wybuchła z całą swoją gwałtownością. Błyskawice podobne do ostrzy ognia ze wszystkich stron przecinały równinę. Pioruny waliły z hukiem i powodowały powstawanie ech. Wzburzona natura wydawała się drżeć pod uderzeniami burzy. Wkrótce z gęstych mas czarnych chmur wytrysnęły strumienie deszczu, jakby naraz w niebie otworzyły się wszystkie katarakty.

Bois Rosé wzywał swoje dziecko głosem czasami grzmiącym, czasami złamanym, śledząc błędnym wzrokiem przez grubą zasłoną deszczu wszystkie zakątki płaskowyżu. Nikogo na nim nie było.

– Schyl się, Bois Rosé, schyl się! – krzyczał Pepe, który teraz wdrapał się na piramidę.

Kanadyjczyk nie słyszał go, a tymczasem Metys, stojąc na skale naprzeciw nich, nagle powstał jak jeden z tych duchów zła, które na skutek konwulsji żywiołów wydostały się z trzewi Ziemi.

– Ależ schyl się, na Boga! – powtórzył Pepe. – Czyżby sprzykrzyło ci się życie?

Nie domyślając się obecności Mieszkańca, którego karabin był skierowany przeciw niemu, Bois Rosé pochylał się, szukając wzrokiem swojego dziecka u podnóża piramidy. Nie było tam nawet trupa Indianina.

Podniósłszy głowę, Kanadyjczyk po raz pierwszy spostrzegł Metysa. Na widok człowieka, którego słusznie uważał za sprawcę wszyst-

kich nieszczęść, jakie go dotykały, goniec leśny poczuł falę nienawiści podnoszącą się aż do jego serca, ale poczuł także, że los Fabiana był w jego rękach i nakazał milczenie wściekłości ryczącej w jego piersi.

– El Mestizo! – zawołał Kanadyjczyk błagalnym głosem, którego cierpienia stłumiły dumę. – Zniżam się przed tobą do prośby, jeżeli w twoim sercu pozostała jakaś litość, oddaj mi syna, którego mi zabrałeś.

Wypowiedziawszy te słowa, Bois Rosé stał wystawiony na strzał bandyty, podczas gdy Pepe, ukryty za pniami jodeł, na próżno wołał do niego, by miał się na baczności.

Wybuch pogardliwego śmiechu był jedyną odpowiedzią pirata z prerii.

– Synu wścieklej suki! – wykrzyknął z kolei Pepe, zbliżając się ku Metysowi z odsłoniętym czołem i pełen wściekłości spowodowanej poniżeniem i rozpaczą swego starego towarzysza. – Czy odpowiesz, gdy biały zaszczycą cię tym, że przemawia do ciebie?

– Błagam cię, Pepe, zamilcz – przerwał mu Bois Rosé – nie rozjątrzaj człowieka, który w swoim rękach trzyma życie mego Fabiana... Nie słuchaj go, Mieszkańcu, żalność wzburza mojego towarzysza.

– Na kolana! – zawołał bandyta. – Być może wtedy zgodzę się cię wysłuchać...

Na ten bezczelny rozkaz, który przyprowadził Bois Roségo o drżenie, jego odkryte szlachetne czoło zabarwiło się na purpurowo.

– Lew nie schylił się przed szakalem – powiedział żywo Pepe do ucha Kanadyjczyka – gdyż szakał naigrawałby się z czołgającego się lwa.

– Cóż to znaczy! – z bolesną prostotą odpowiedział Bois Rosé.

Duma wojownika, który nawet nie zgodziłby się zniżyć spojrzenia, by ratować swoje życie, została pokonana przez ojcowskie przywiązanie, więc twardy goniec leśny ukląkł.

– Ach, tego już za wiele, bękarcie rozbójnika i indiańskiej nie-rządniczy – ryknął Pepe z płonąca twarzą, gdy oczy zaszły mu łzami na widok Kanadyjczyka ze schyloną głową klęczącego przed piratem

pustkowi. – To zbyt wiele, by poniżyć się przed bandytą bez wiary i serca. Chodź, Bois Rosé, poradzimy sobie z nim, choćby sto tysięcy diabłów...

Po tych słowach porywczy myśliwy, uniesiony przywiązaniem, które powziął ku Fabianowi, a zwłaszcza swoją żarliwą przyjaźnią do Kanadyjczyka, rzucił się jak kozica na zbocze pagórka.

– Ach, więc to tak! – zawołał Metys i wycelował do Bois Roségo, który błagał o współczucie dla syna.

Padął jednak tak ulewny deszcz, że kurek nadaremnie uderzał w panewkę, nie zapalając spłonki. Dwa razy iskry bez rezultatu wystrzeliły z krzemienia.

Oburzony tym morderczym i nikczemnym podejściem wobec błagającego i bezbronnego wroga, nie spodziewając się już z jego strony żadnej litości, Bois Rosé poszedł w ślady Pepego, nie zważając również jak on na liczbę nieprzyjaciół mogących ukrywać się za skałami. Bois Rosé schodził jeszcze ze wzgórza, gdy Pepe ze sztyletem w dłoni okrażał już Złotą Dolinę.

– Pospiesz się, Bois Rosé! – zawołał Hiszpan, który zniknął za łańcuchem skał. – Dranie opuścili to miejsce i uciekli.

Było to prawda, ale w tejże chwili Metys, który pozostał sam, zaczął wycofywać się w kierunku szczytów Gór Mglistych.

– Zatrzymaj się, jeżeli nie jesteś tak tchórzliwy, co zaciekły – odezwał się Kanadyjczyk patrzący z drżeniem, jak porywacz Fabiana ucieka przed jego zemstą.

– Mieszaniec nie jest tchórzem – odpowiedział Metys, wracając do swych indiańskich zwyczajów. – Orzeł Gór Śnieżnych i Ptak Przedrżeźniacz spotkają go po raz trzeci, a wtedy czeka ich los młodego wojownika z Południa, wokół którego Indianie będą tańczyć i którego ciało rzucą psom wałęsającym się po prerii.

Kanadyjczyk kontynuował swój desperacki bieg i wkrótce dołączył do Hiszpana. Dwaj myśliwi w swoim bezowocnym pościgu zdawali się nie zważać ani na trudny teren, ani na śliskie skały, na które musieli się wspinać. Przez zasłonę deszczu ciągle widzieli Mieszance, jednak wkrótce ujrzeli go przekraczającego grzebień gór i nie minęło dużo czasu, kiedy zniknął pod wieczystą mgłą, która je okrywa.

– Ach, nie mieć ani jednej strzelby! – zajądło tupiąc nogą w ziemię, zawołał Pepe.

– Zgasła nadzieja mojego życia! – zawołał stary goniec leśny łamiącym się głosem, łapiąc na chwilę oddech, gdy tymczasem deszcz zalewał jego czoło, gdzie malowała się posępna i przejmująca boleść.

Obaj na nowo zaczęli wdrapywać się na skały, szukając wszędzie śladów swoich nieprzyjaciół, ale potoki deszczu spadające z nową siłą zmywały zaledwie uformowane odciski ich stóp. Wzmagająca się ciemność, gdyż noc szybko się zbliżała, a na skałach nie było widać żadnych ludzkich śladów.

Nie minęło dużo czasu, a Hiszpan i Kanadyjczyk również zniknęli pod baldachimem górskich oparów.

Pod nimi na równinie ryczał huragan, ziemia zdawała się być napadnięta przez duchy ciemności nagle spuszczone z łańcucha.

Czasami z przerażającym łoskotem huczały gromy, czasami pioruny migotały jak iskry zapalonego drzewa, uderzając w szczyty skał, które rozpadały się w pył, a długie światła błyskawic otaczały swoimi smugami Żółtą Dolinę i teraz opuszczoną piramidę grobowca. Niebieskawe błyski otaczały szkielet konia na platformie, sprawiając, że wyglądał jak demon uciekający z piekła i ciągnący za sobą pożerające go płomienie.

Przy blasku nagłych błyskawic można było zobaczyć dwóch myśliwych, z których jeden usiłował nadaremnie pocieszać drugiego, smutnie siedzącego na krawędzi skały. Obaj rzucali posępne i smutne spojrzenia na głębokie wąwozy, w które ze świstem wpadał wiatr, albo na wysmukłe szczyty skał wieńczących górę, wydających się przypominać piszczałki ogromnych organów, huczące pod tchnieniem nawałnicy.

Gdyby w nocy jakiś podróżny zabłąkał się w Górach Mglistych, usłyszałby mieszające się z łoskotem burzy, czasami jakby ryki lwicy, której porwano lwiątko, to znów żalosne okrzyki podobne do tych, jakie wydawała Rachela¹, płacząc na pustkowiach Ramy, nie chcąc być pocieszaną, ponieważ jej synowie już nie żyli.

¹ *Rachela* – postać biblijna, żona patriarchy Jakuba, matka Józefa i Beniamina.

Kiedy w końcu burza przestała szaleć, Pepe i Bois Rosé nadal maszerowali przez góry i liczyli na los szczęścia, bez ich młodego i dziarskiego towarzysza, bez broni, bez żywności, rozpoczynając jedną z tych okropnych faz życia na pustkowiach, gdzie myśliwy, pozbawiony wszelkich środków walczenia z głodem, jest ponadto bezsilny wobec ataku Indian czy dzikich bestii.

Tymczasem ci dwaj nieustraszeni mężczyźni postanowili kontynuować pościg, gdyż słońce znów miało oświetlać te zgubne pustkowia i już na rozjaśnionym sklepieniu nieb, jak gasnące kaganki po nocnym świetle gwiazdy gasły jedna po drugiej w porannej mgle.



Rozdział LIV

Wspomnienia i żale

darzają się takie incydenty, niekiedy pozornie błahe i które wydają się przerywać szybki bieg wydarzeń, jak chmury zwrotnikowe pod pewnymi szerokościami geograficznymi. Te chmury unoszą się w powietrzu nad oceanem, białe i lekkie jak pióro oderwane ze skrzydła mewy. Oko podróżnego nie zamierza się nimi zajmować, ale oko żeglarza śledzi je uważnie, gdyż często wzgardzona chmurka powiększa się, rozciąga się, zakrywa błękit nieba ciemną powłoką i wtedy straszliwe sztormy wstrząsające morzem, pozbawiające statki masztów i żagli, powstają z otoczenia tych oparów początkowo niedostrzegalnych.

Taką jest też historia życia. Ileż to błałych okoliczności przeradza się w ważne wydarzenia, którymi człowiek nie raczy się zajmować, albo też zajmuje się nimi chwilowo, aby o nich natychmiast zapomnieć, tak jak trzech myśliwi zapomnieli o łódce z kory, która była dla nich niczym burzowa chmura tropików!

W chwili przeniesienia na dalszą widownię scen które będą wyróżniać rozwiązanie tego opowiadania, są niektóre incydenty godne przypomnienia Czytelnikowi ponieważ wiążą ściśle przeszłość z przyszłością.

Być może nie zapomnieliśmy, że podczas rozmowy Metysa z Czarnym Ptakiem pirat szepnął kilka słów do ucha indiańskiego wodza i że po tych słowach błyskawice gniewu wytrysnęły z oczu wojownika Apaczów. Metys zakończył obietnicą dostarczenia Czarnemu Ptakowi Indianina o silnym sercu i stalowych nogach w miejsce Barajy, jego jeńca. Ponadto zapowiedział, że zastąpi jego konie zabite w bitwie, a na koniec naznaczył mu spotkanie na trzeci dzień przy rozgałęzieniu Rzeki Czerwonej, w pobliżu Jeziora Bizonów.

To nadmieniwszy, szybko powracamy do wydarzeń, które miały miejsce w hacjendzie del Venado. Ten powrót jest niezbędny do zrozumienia wypadków, których opis wkrótce nastąpi. Ponadto potrzebny jest dla harmonii całości. Być może także nazbyt długo znajdowaliśmy upodobanie w opisach scen dzikiego życia pustkowi, które niekiedy było naszym własnym.

Krajobraz jest bowiem kompletny tylko wtedy, gdy prezentuje pewne kontrasty. Wyobraźnia szybko nuży się widokami przedstawianymi jedynie poszarpane skały, strome góry i posępne lasy. Wzrok, podobnie jak wyobraźnia, wkrótce poczuje potrzebę błakania się po odległych horyzontach, w mgle umykających równin. Lubi też spoczywać na lustrze przezroczystej wody rzuconym pośród różnych obiektów, by odbijał się w nim czy to błękit nieba, czy to grupy chmur zabarwione słońcem, czasami nieruchome, czasami przemierzające przestrzeń atmosfery. Człowiek lubi, by mu przypominało niebo.

Kobieta jest także jednym z tych rozkosznych kontrastów, które lubi się napotykać w brutalnym odmalowywaniu obyczajów pustkowi. Jest ona dla tych obyczajów tym, czym dla surowego krajobrazu jest cienista dolina, w której lubi się marzyć, czym jest strumień, który wdzięcznie wije się przez prerię, czym wreszcie jest tęcza rozwijająca całe swoje bogactwo barw.

Po nagłym odjeździe don Estevana de Arechiza i jego orszaku, po ucieczce Tiburcia Arellanosa, hacjenda del Venado tak hałaśliwa poprzedniego dnia, wróciła do zwykłego spokoju. Jak w dniu przybycia tam Hiszpana i jego towarzyszy spoczywających obecnie snem wiecznym blisko Gór Mglistych, hacjenda przedstawiała o wschodzie słońca, w chwili, gdy do niej wracamy, widok spokojnej pomyślności. Stada jak zwykle pasły się na rozległej równinie, pośród której wznosił się dom don Augustina. Tylko na tej żyznej ziemi zieleniały się nowe zboża, drzewa oliwne obwieszone kwiatami obiecywały bogate zbiory. Pracownicy wychodzili ze swoich chat do wieczoraj rozpoczętych zadań, jednak na podwórzu hacjendy osiodłane konie i obładowane muły oznajmiały przygotowania do podróży.

Być może nie zapomnieliśmy o polowaniu na dzikie konie, które właściciel hacjendy chciał urządzić dla swoich gości, by zapewnić

im rozrywkę, a które, jak powiedzieliśmy, ze skwapliwością zaakceptowali. Niestety, czasami następny dzień nie należy do człowieka. Wydarzenia, które tak szybko się rozwinęły, wystarczająco tego dowiodły. Don Augustin, pełen wiary w powodzenie planów don Estevana, chociaż zasmucany jego nagłym wyjazdem, nie chciał się jednak wyrzec dla senatora, swego przyszłego zięcia, jak również dla siebie, przyobiecanej przyjemności.

Wszystko było przygotowane, więc postanowił, że łowy się odbędą.

Konie oczekiwały jeźdźców – tak dla doñi Rosarity, jak dla innych. Senator uwolniony od obecności rywala, którego się obawiał, i od don Estevana, którego pewien rodzaj opieki bardzo mu doskwierał, był promieniejący. Nie można było tego powiedzieć o córce hacjendera.

Jej pobladła twarz nosiła jeszcze ślady bezsennej nocy. Na próżno wyglądała na pogodną, czemu przeczyły jej wciąż wilgotne i pozbawione blasku oczy, jakim błyszczały poprzedniego dnia. W chwili wsiadania na konie, gdy don Augustin dał znak do wyruszenia, Rosarita nagle zaczęła narzekać na nagłą niedyspozycję, którą aż nazbyt dobrze uzasadniała jej bladość. Poprosiła ojca, by mogła pozostać sama. Hacjendero, zirytowany tą nową przeszkodą, złorzecząc w głębi duszy i przeklinając delikatne zdrowie kobiet, postanowił jednak wyjechać na polowanie w towarzystwie Tragadurosa, kiedy nowe wydarzenie podwoiło jego zły nastrój.

W chwili, gdy miał dosiąść konia, wielkim pędem nadjechał vaquero, by powiadomić don Augustina, że zwiadowcy znaleźli wyschnięte *aguage*¹, że konieczne będzie poszukać innego i że polowanie będzie mogło rozpocząć się dopiero za tydzień. Don Augustin odprawił vaquero z rozkazem, by zawiadomił go, skoro tylko zostanie znaleziony jakiś staw, do którego zbiegają się dzikie konie, by ugasić pragnienie. Łowy zostały odłożone.

Senator nie odczuwał żadnej irytacji z powodu tego incydentu, który choć był prosty, miał wywołać poważne następstwa. Napomnie-

¹ *Aguage* (hiszp.) – miejsce pojenia.

nia don Estevana, aby się odznaczył jakimś błyskotliwym czynem w oczach doñi Rosarity, wprawdzie obdarzyły go bardzo wojowniczym snem. Senator, usnąwszy po wyjeździe hiszpańskiego pana, przeżył w swoich marzeniach wszystkie czyny Centaurów, ale jego przebudzenie pokazało mu niedogodności rzeczywistości, więc postanowił ograniczyć się do roli Herkulesa przędącego u nóg Omfale, jako mniej kompromitującej i łatwiejszej do spełnienia.

Jeśli chodzi o Rosaritę, jej niedyspozycja, która tak nagle ją dopadła w chwili wyjazdu, była jedynie nakazującą potrzebą oddania się swoim rozmyślaniom, a poza tym, unikając dołączenia się do polowania, zyskiwała kilka dni samotności, której pragnęła.

Gwałtowne błyskawice następujące po sobie na lazurowym niebie, nieznanym wulkan, nagle wyrzucający płomień z góry pokrytej śniegiem, którego biel barwiło dotąd jedynie na czerwono zachodzące słońce, wywołują mniejsze zaskoczenie niż widok kobiety nagle wybuchającej gwałtowną miłością, jaką w sobie pieściła, nie podejrzewając jej mocy. Przy gwałtownych dreszczach, które wstrząsają jej piersią, czuje, że straciła ten spokój, jaki niedawno stanowił całą jej siłę, a jej zdumienie jest czymś, co czułby bożek, widząc, jak jeden po drugim opadają jego promienie boskości. Czy serce dziewicy, jeszcze niczego niepojmującej, nie świeci całym blaskiem boskich promieni, czy nie ma czystości błękitu nieba i bieli śniegów wysokich gór?

Rosarita w milczeniu, rozmyślając, zadawała pytania swemu sercu. Nieznane jej dotąd głosy sprawiły, że słyszała czyste i słodkie melodie rodzącej się miłości. Te następnie umilkły, a w duszy dziewczyny pojawiła się ogromna pustka, gdyż tego, którego wzywały te głosy, już przy niej nie było. Gdzie się znajdował? Upływały dni, lecz nikt nie mógł jej nic powiedzieć.

Tymczasem trzeba przyznać, że senator dość zręcznie oblegał miejsce, które miał doprowadzić do kapitulacji. Dzięki wielkiemu kredytowi, jaki mu otworzył don Estevan w kasie hacjendera, i jakiego nie oszczędzał w mniemaniu, że jest niewyczerpany, udało mu się trochę rozerwać Rosaritę i ponadto złagodzić nieco głęboki smutek, jaki nią owładnął.

Podarunki, niespodzianki pełne skwapliwej uprzejmości, będące świadectwem mocno zajętego serca, zawsze wywierają na kobietach potężny urok, łaskoczący ich miłość własną, co często kończy się jeśli nie otwarciem drogi do ich serc, to przynajmniej zwróceniem ich uwagi na korzyść tego, który zapewnia im opiekę. Senator oprócz tego pokładał niezachwiane zaufanie do swoich osobistych zalet i nieustannie chełpił się, podczas gdy Rosarita, słysząc te przechwałki, zaczynała w nie wierzyć. Wygłaszając swoje panegiryki¹, starał się przypisać swojej miłości do doñi Rosarity wybitne cechy, którymi tak łaskawie siebie obdarzał.

Takie były środki, których Tragaduros używał, by zapomnieć o jego nieobecny rywalu, a on zajął miejsce, które tamten zajmował w sercu Rosarity.

Nieobecność ma swoje niebezpieczeństwa i są one liczne, ale ma też pewne zalety. Przywołuje do życia żal, który błaga o przedmiot, jaki nas ekscytuje, pozostawia wspomnienie rozłąki, wspomnienie zawsze czułe i nadaje nieobecnemu, jak błękit nieba oddalonemu kraj-obrazowi niewymowny urok, jednak czasami nie można jej przedłużyć, co właśnie groziło Fabianowi. Powiedzmy, że jego obraz, mimo wszelkich prób uwodzenia używanych przez obecnego na miejscu rywala, pozostawał jeszcze wryty w sercu Rosarity.

Taki był stan rzeczy w hacjendzie del Venado, około dwa tygodnie po wyjeździe don Estevana, to znaczy nieco wcześniej, nim pan hiszpański rozłożył swój obóz na pustyni z wyprawą, którą dowodził.

Don Augustin jedynie samotności, w jakiej żyła jego córka, przypisywał melancholię malującą się na jej twarzy. On sam odczuwał brzemię bezczynności, niezgodnej z jego gorącym charakterem, więc powrót *vaquero* z wiadomością o odkryciu *aguage*, w pobliżu którego napotkano liczną gromadę dzikich koni, stał się dla niego okazją. Chwycił ją więc z zapalem, aby odwrócić uwagę doñi Rosarity i zaspokoić własną namiętność myśliwego. Sposobność ta była tym bardziej przychylna, że *aguage* znajdowało się dalej od hacjendy. Nie byłaby to zatem wycieczka po okolicy, ale czterodniowa wyprawa.

¹ *Panegiryk* – utwór literacki wysławiający jakąś osobę, czyn, wydarzenie; także okolicznościowa wypowiedź utrzymana w tym stylu.

Od kilku lat nie zasygnalizowano żadnego śladu bytności Indian w pobliżu, zatem trudy kilkodniowej podróży miałyby hojnie wynagradzać wzruszający spektakl bardzo ciekawego polowania na dzikie konie, którego Meksykanie tych odległych okolic poszukują z taką samą żarliwością, jak walki byków.

Wracamy do hacjendy del Venado w dniu wyjazdu.

Osiodłane konie tupały na dziedzińcu przy głównych schodach. Przodem ruszyły muły objuczone pledami, tobołkami i kuframi, podobnie jak konie przepręgowe. Dwóch służących pozostających dla osobistej posługi państwa, czekało jedynie na nich, by ruszyć w drogę.

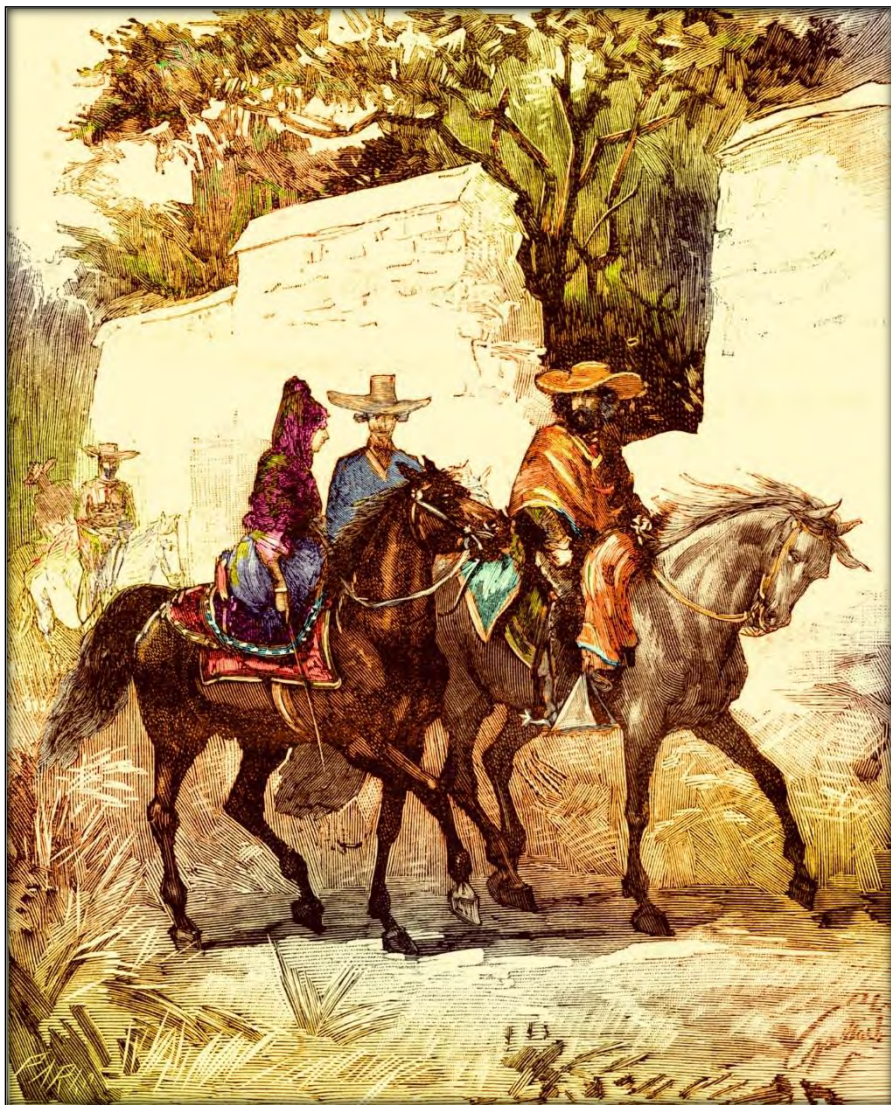
Słońce zaledwie rzucało pierwsze promienie, gdy hacjendero, senator i doña Rosario ukazali się na schodach dziedzińca w ubiorach do konnej jazdy.

Młoda dziewczyna nie miała już tych świeżych kolorów konkurujących z blaskiem rozchylonego owocu granatu, ale bladość jej twarzy, w której odbijała się melancholia duszy, nadawała wszystkim rysom aurę łagodnego rozmarzenia, co w żadnym stopniu nie umniejszało jej piękna.

Kawalkada ruszyła w drogę. Przejeżdżając około wyłomu muru obwodowego, na który się wdrapał ten, kto nie chciał być gościem jej ojca, a kogo Rosarita zawsze nazywała Tiburcio Arellanosem, opuściła na twarz woalkę, by ukryć łzę spływającą z oczu. Bardzo często noc zaskakiwała ją dumającą w tym miejscu, ale opuszczając hacjendę, wydawało się jej, że na zawsze żegnała się z najdroższymi i równocześnie najbardziej bolesnymi wspomnieniami. Czyż to nie tam pewnego wieczora, nie zdając sobie z tego sprawy, poczuła nagle miłość krążącą w jej żyłach? Czyż nie od chwili tego wspomnienia zaczęło się liczyć, że tak powiem, jej życie? Dalej już nic nie przypominało jej Tiburcia.

Nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa, na jakie był narażony w lesie w Salto de Aqua ten, który był przyczyną jej łez, przejechała przez gęstwinę i toporny most na potoku.

Pomimo usiłowań senatora, aby ją rozweselić, pierwszy dzień podróży był smutny i tak samo się też zakończył.



Przejeżdżając około wylomu muru obwodowego
Rosarita opuszcza na twarz woalkę, by ukryć łzę spływającą z oczu.

W odległości jednej czy dwóch lig od miejsca, gdzie kawalkada miała noclegować, nagle się ściemniło i podróżni umilkli, gdyż na pustkowiu zbliżająca się noc jest urocza i pobudza do marzeń. W tym miejscu spotkało się z nimi dwóch jeźdźców.

Ich widok był zarazem dziwny i złowrogi. Jeden z nich był starcem o białych włosach, a drugi młodzieńcem o czarnym owłosieniu. Obaj mieli włosy upięte w kok za głowami i związane białymi skórzanymi rzemieniami. Rodzaj niewielkich jarmułek¹ z grubej siatki ozdobionych chwostem² z piór pokrywał czubki ich głów i był podwiązany pod brodą skózaną przepaską.

Obaj mieli gołe nogi, ale górna część ciała była owinięta najwykleszym wełnianym kocem.

Był to strój Indian Papago, jednakże zamiast być uzbrojeni w łuki i strzały, dwaj jeźdźcy trzymali w poprzek siodła długie i ciężkie strzelby, których drewniane kolby były ozdobione mosiężnymi gwoźdzami. Poza tym drapieżny wygląd malujący się na ich twarzach daleki był od potulnej dobrotliwości, jaka wyróżnia to plemię bardzo spokojnych Indian, których przypominali jedynie swoimi ubiorami.

Dona Rosario pchnęła swego wierzchowca ku koniu ojca, gdy tymczasem młodszy z dwóch jeźdźców zatrzymał swego, by rzucić ogniste spojrzenie na twarz młodej dziewczyny, której uroda zdawała się żywo go zachwycać.

Dwaj jeźdźcy zamienili z sobą kilka słów w języku niezrozumiałym dla Meksykanów i ruszyli dalej, ale młodszy kilka razy odwrócił się i śledził wzrokiem powiewającą woalkę i wysmukłą kibić córki don Augustina. Po chwili obaj zniknęli w cieniach wieczoru.

– Nigdy nie widziałam – odezwała się Rosarita z pewnym niepokojem – dwóch Papagosów o podobnych obliczach.

– Ani w ten sposób uzbrojonych – dodał senator. – Wyglądają jak dwa wilki odziane w owczą skórę.

– Ba! – odrzekł don Augustin. – Wszędzie znajdują się odrażające twarze, nawet pomiędzy Papagosami. Cóż zresztą obchodzi nas ci

¹ *Jarmulka* – obcisła czapeczka sukienna lub aksamitna, bez daszka, zakrywająca tylko wierzch głowy, noszona głównie przez Żydów; mycka, krymka.

² *Chwost* (chvast) – pęczek nici, piór lub włosów, użyty jako ozdoba.

dwaj Indianie? Jesteśmy tu w znacznej liczbie i równie dobrze uzbrojeni jak oni.

Podróźni jechali dalej swoją drogą, niemniej wydawało się, zostawili w powietrzu ślad zgubnej przepowiedni. W czasie, który upływał do snu, rytmiczne stąpanie koni po suchym i dźwięcznym gruncie mieszało się jedynie z ostatnimi szmerem cykad¹, którym ciemności nakazywały milczenie.

Wkrótce widok roznieconego ognia na polu wskazał podróżnym miejsce, które służący, jacy ich wyprzedzali, wybrali na postój.

Mały jedwabny namiot sprowadzony na ten cel przez Tragadurosa z Arispe został rozbity pod kępą drzew dla dońi Rosarity.

Po zakończonym wieczornym posiłku dziewczyna udała się tam, ale nadaremnie szukała snu na koronkowych poduszkach. Przypominała sobie noc, w której Tiburcio spał niedaleko od niej, gdy zobaczyła go po raz pierwszy, i jak Tiburcio zrobił to owej nocy, tak ona teraz przysłuchiwała się kolejno ze łzami lub uśmiechem szemrzącemu blisko strumykowi, dzwonkowi kłaczcy *capitany*, odległemu skowyczeniu szakali, okrzykom nocnego ptaka, słowem wszystkim odgłosom nieokreślonej harmonii pustkowi, budzących tyle ech w dwudziestoletnim sercu.

Czego by nie dał Fabian, by mógł zobaczyć nazajutrz o świcie córkę don Augustina wychodzącą z swego jedwabnego namiotu, by znowu wsiąść na konia, czarującą błądą, jaką zostawiła na jej twarzy bezsenność, której on był sprawcą?

Kawalkada podjęła marsz podobnie jak poprzedniego dnia, ale Rosarity była jeszcze bardziej roztargniona niż wczoraj. Wspomnienia, które – jak się jej wydawało – pozostawiła w hacjendzie, nieustannie ją napastowały, gdyż miłość jest przemyślna w ustanawianiu w każdej chwili uderzających podobieństw do najbardziej odległych.

Cokolwiek by mogli powiedzieć niektórzy ludzie, wyobrażnia ludzka jest równie biegła w tworzeniu słodkich iluzji, jak wykuwaniu przykrych chimer.

¹ *Cykady* (*Cicadidae*) – rodzina owadów z rzędu pluskwiaków równoskrzydłych, podrzędu skoczaków; około 5 tys. gat.; samce większości gatunków wydają donośne dźwięki za pomocą specjalnego aparatu mieszczącego się u podstawy odwłoka; żywią się sokami roślin; zamieszkują głównie obszary ciepłe, np. południowoeuropejski piewik mannik (*Cicada orni*).

Podczas całej podróży z hacjendy do Jeziora Bizonów, bo właśnie tam dążyła kawalkada, okoliczności zdawały się sprzyjać Fabianowi i bardzo mało pozostawiały do urzeczywistnienia wyobrażeń.

Po kilku godzinach jazdy, senator, pozostawszy na kilka chwil nieco w tyle, dołączył do kawalkady. Przyniósł z triumfem Rosaricie bukiet kwiatów lian, które uzbierał po drodze. Okrzyk radosnego zaskoczenia, jaki wybiegł z ust dziewczyny na widok tych dzwoneków o wspaniałych barwach, wynagrodził senatorowi jego zalotną uprzejmość. Następnie w chwili, gdy miała mu dziękować, Rosarita poczuła, że zawodzi ją głos, i nagle odwróciła się, by nie pozwolić na odczytanie z jej twarzy bolesnych emocji, gdy tymczasem jej ręka kolejno upuszczała kwiaty ofiarowane jej przez senatora.

– Co pani jest, na Boga! – zawołał Tragaduros, zaskoczony i zarazem zasmucony tym nieoczekiwanym widokiem.

– Nic, nic – odpowiedziała młoda dziewczyna, czyniąc wysiłki, by ścisnąć w rękę tak szybko wzgardzony bukiet.

Powiedziawszy te słowa, Rosarita uderzyła szpicrutą konia, który popędził się jak strzała. Potrzebowała powierzyć wiatrowi poruszającemu jej włosy westchnienie cierpienia, które ją dusiło.

Rosarita właśnie przypomniała sobie, że niegdyś także Tiburcio zbierał dla niej na drodze kwiatki, a te, które trzymała w rękę, wydawały się jej ohydne. Zgniotła je konwulsyjnie i odrzuciła daleko od siebie.

– Czyżby w tych kwiatkach był jakiś jadowity owad? – zapytał senator, kiedy ponownie do niej dołączył.

– Tak – odpowiedziała Rosarita z wysiłkiem, czując, że jej policzki zabarwiły się na purpurowo – jak kwiaty, które odrzuciła.

Wiemy zatem wystarczająco dużo o tajemnych uczuciach Rosarity i nie potrzebujemy śledzić jej krok po kroku w czasie podróży.

Dlatego też pozwólmy kawalkadzie przybyć rano czwartego dnia do Jeziora Bizonów, gdzie powinniśmy dotrzeć wcześniej.



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!